

Jak byłam na randce

O AUTORCE

Aleksandra Ruda – rocznik '82. Obecnie robi doktorat w Instytucie Filozofii Państwowej Akademii Nauk w Kijowie. Od dzieciństwa miłośniczka fantastyki, przez parę lat aktywnie brała udział w grach RPG, mając okazję pobyć i wiedźmą, i księżniczką, i potworem. Próbuje pisać przyjemną fantastykę, taką, która podnosiłaby nastrój.

A może opowiadałam już, jak próbowałam urządzić moje życie osobiste? A było to tak...

Któregoś pięknego dnia mój najlepszy przyjaciel i kompan od butelki półkrasnod Otto zauważył:

– Mam wrażenie, że powinnaś zadbać o swoje życie osobiste.

Nie powiem, zdziwiłam się. Bo tak w zasadzie to miałam nawet całkiem aktywne życie osobiste – co rusz się zakochiwałam. Był tylko jeden drobny szkopuł – bez wzajemności. Z drugiej strony, wzajemność zawsze powoduje liczne komplikacje. Tak więc wdychałam do kolejnych obiektów moich uczuć na odległość i nazywałam imieniem ukochanego nowy koktajl (jeśli ktoś nie wie, dorabiamy sobie z Ottonem, produkując najprzeróżniejsze wysokoprocentowe napoje). W ten sposób przez ostatnie pół roku nasz asortyment wzbogacił się o pięć nowych koktajli.

– No, na ten przykład, kiedy ostatnio byłaś na randce? – zapytał Otto, pykając fajkę.

Przyznać trzeba, że to był cios poniżej pasa. Nie umawiałam się na randki, bo ostatnia była tak traumatycznym doświadczeniem, że Otto przez dwa dni dostarczał mi posiłki pod kołdrę. Co jak co, ale randki nie wychodziły mi najlepiej.

Teraz, nie czekając, aż ochłone, wziął sprawę w swoje ręce.

– Niedawno poznałem jednego praktyka. Samotny, przystojny, odważny, mądry i nie przynudza. Z piątego roku. Żadnych złych przyzwyczajzeń nie stwierdzono. Poszłabyś z nim na randkę, co? Rozerwiesz się. Na ten przykład, powiedzmy w piątek.

Do mojej duszy zakradło się pewne podejrzenie, którego nie omieszkałam ubrać w słowa.

– Drogi przyjacielu, czy nie postanowiłeś czasem zostać swatem? A może ten cały przystojniak ci zaoferował pieniądze?

Otto z zażenowaniem podrapał się w kosmatą brodę.

– Aha, czyli zaoferował. I za ile mnie sprzedałeś?

– Za pięć złotych.

Pół stypendium. Nie najgorzej. A jeśli uwzględnić, że na sto procent krasnod zataił jedną, dwie monety, to poczułam dumę. Miło jest znać swoją wartość. Zastanowiłam się przez moment. To prawda, randki nijak mi się nie udawały, im porządniejszego i spokojniejszego partnera do nich wybierałam, tym paskudniejsze ponosiłam konsekwencje. Za to interesy... O, z interesami dawałam sobie radę bez trudu. Może więc gdybym połączyła te dwie dziedziny, straszliwy pech w zakresie randek przestałby mnie prześladować?

– Połowa dla mnie.

– Naciągaczka! – oburzył się krasnod. – Ja ci proponuję boskiego faceta, a ty jeszcze za to żadasz kasy! Rozbójniczka!

– Mam ci przypomnieć, że za pięć złotych sprzedałeś swoją najlepszą przyjaciółkę?

– Jedna trzecia i ubieram cię na tę randkę!

– Na twój koszt?

– Na twój. Ale z dobrymi radami.

– Znam ja wasze krasnodzkie pojęcie piękna!

– Nie, skarbie. Jestem dobrze przygotowany – z dumą odpowiedział mój przyjaciel, pogrzebał w torbie i wyciągnął kupę zwojów.

Były wśród nich następujące dzieła: „Współczesna moda”, „O kobiecych ubraniach”, „Jak spodobać się mężczyźnie” i na końcu „Faceci. Ich uwodzenie i zniewalanie” Milli Istratyjskiej.

– O – ucieszyłam się. – Tę znam.

– A kto nie zna Milli – wymruczał krasnolud, oglądając swoje notatki na zwojach. – Ale nie możesz zaprzeczać, że o uwodzeniu wie wszystko.

Milla w ciągu trzydziestu lat swojego pełnego wrażeń życia pięciokrotnie wyszła za mąż, tylko oficjalnych kochanków miała z pół setki, ponoć była też królewską faworytą. Na naszym wydziale Magii Teoretycznej Milla spędziła około miesiąc, wyszukując w bibliotece starożytne środki magiczne zachowujące urodę i wzmagające kobiecy czar. Do badania podeszła solidnie – odpytała wszystkie dziewczyny, Mentorki, Nauczycielki, a także wszystkie pracownice na temat ich prywatnych metod. Zanotowała wszystko i odeszła, zostawiwszy za sobą przeżywającego męki miłosne Dziekana.

A że trudno było sprzeciwić się *takiemu* autorytetowi, rozpoczęło się przygotowywanie mnie do randki. Umyłam głowę wywarem z szaławii – by moje kasztanowe włosy błyszcząły, ciało wyczyściłam mieszaniną soli z owsianką – by moja skóra była jedwabiście gładka. W skupieniu wywaliwszy język, umalowałam się przed lustrem. I do rzeczy zabrał się Otto. Wyrzucił z szafy całą zawartość i zaczął przymierzać na mnie bluzeczki, informując z mądrym wyrazem twarzy:

– Dla faceta najważniejsza jest nie golizna, a tajemnica. Założysz tę niebieską, można rozpiąć dwa guziki i twoje piersi będą apetycznie wyglądały. A bieliznę czarną i koronkową. Co masz pod spódnicą?

Otto widywał mnie w różnych sytuacjach i stanach i to, co nosiłam pod moją obszerną płócienną spódnicą, nie było dla niego tajemnicą – cieniutkie spodenki dla wygody, a nuż spódnica się uniesie. Jednak usłyszawszy to pytanie, wczepiłam się w fałdy niczym dziewczica w obliczu zagrożenia utratą wianuszka.

– Zadrzyj spódnicę!

– Nie! Pójdę jak stoję!

Krasnolud pociągnął tkaninę. Spódnica niebezpiecznie zatrzeszczała.

– Ja nie chcę, żeby mi stamtąd coś kusicielsko wyglądało! – rzucałam się, próbując przy pomocy magii odczepić palce Ottona od mojego najcenniejszego skarbu.

Rozległo się pukanie do drzwi i w szparze ukazała się rozczochrana głowa Trohima – mojego kolegi z grupy.

– O! – ucieszył się. – A mówiliście, że pomiędzy wami jest tylko przyjaźń!

Otto odczepił się od spódnicy i z obrażonym wyrazem twarzy rozsiadł się na łóżku.

– Nie pozwala mi zajrzeć pod spódnicę – poskarżył się Trohimowi

– Jeju, co za tragedia! A mi pozwolisz?

– Odczepcie się ode mnie obaj! Koniec, nigdzie nie idę!

– Nie masz prawa! Oddawaj pieniądze! – To Otto.

– A kto kogo kupił? – Trohim.

– Nie kupił, sprzedał. On mnie. – Myśl o pieniądzach mnie otrzeźwiła i w zamyśleniu badałam spojrzeniem resztę zawartości szafy.

Oprócz szerokich spódnic znajdowało się tam jeszcze parę sztuk spodni, ogromna ilość „podspódniczych” spodenek – przy moim ulubionym zajęciu (mam na myśli taniec) nigdy nie wiadomo, gdzie w następnej chwili znajdzie się twoja spódnica.

– I jak się nazywa twój klient?

– Bringem.

– Bringem, Bringem... Coś o nim słyszałem. Chyba dziwny jest. Tylko nie pamiętam, o co chodziło.

– Trzeba mniej pić – stwierdził Otto, wybierając z moich łańców ten najbardziej kuszący.

– Skoro już o tym mówimy... – ożywił się Trohim.

– Jest nowa receptura – odzyskałam rezon. – Smaczne! Ostre! Zapamiętasz na zawsze!

Tak naprawdę to tego nowego wyrobu nikt jeszcze nie próbował. Z czystej ciekawości dodałam do koktajlu podsłuchane zaklęcie Dziekana o nazwie „A żeby was”, które rzucał na studentów pojawiających się na zajęciach w stanie lekkiego podchmienia.

Trohim przyssał się do baniaka. Półkrasnolud wyszeptał:

– Umiesz udzielać pierwszej pomocy, prawda?

Niepewnie skinęłam głową. Trohim czknął. Jego twarz poróżnowiała, otworzył usta i wyjęczał:

– Wody!

I w tym momencie jego usta same z siebie się zamknęły i choć starał się ze wszystkich sił, nie udało mu się ponownie ich otworzyć.

– Ola, a co robiło zaklęcie Dziekana? – zaciekawiał się Otto, patrząc, jak Trohim buczy i przewraca oczyma. – Trzeba sypać mniej pieprzu.

– Nie, wtedy cały efekt znika – Desperacko szukałam amuletu-neutralizatora.

Jak każdy szanujący się mag miałam w posiadaniu ogromną ilość wszelakich amuletów i artefaktów. Amulet do neutralizacji własnych zaklęć podarował mi ojciec Ottona, doskonały zbrojmistrz, gdy zrozumiał, że nasz interes przynosi dochód, ale często wiąże się z eksperymentami na sobie. Taki sam miał Otto.

– Obiecuj, że nie będziesz się rzucał – uprzedziłam koleżę, kierując neutralizator w jego stronę.

Trohim wytchnął obłoczek pary i padł na łóżko.

– Jakie dobre – wyszeptał marzycielsko po chwili. – Tylko pieprzu faktycznie przydużo, bardzo piecze i nie można popić. Trzymaj.

Wzięłam z jego dłoni kolczyki. Co to były za kolczyki! Malutkie srebrne kulki, do oporu nafaszerowane magią.

– Nekromagia??? – szybko określiłam rodzaj zaklęć. – Skąd masz takie coś?

– Widziałem Irgę, prosił, żeby ci je przekazać. Powiedział, że pożyteczna rzecz, broni przed złymi nieumarłymi.

Z Irgą, mrocznym typem i utalentowanym nekromantą, poznaliśmy się kawał czasu temu. Zdobyłam jego szacunek za twardość ducha, wykazaną, uczciwie mówiąc, zupełnym przypadkiem, w kilku studenckich zadymach, i raz na jakiś czas podrzucał mi ciekawe przedmioty, odkąd dla wszystkich stało się oczywiste, że gdy dochodzi do magii rzemieślniczej, okazuję się mieć dwie lewe ręce. Traktowałam drobne upominki od Irgi jako wyraz koleżeństwa, a raczej traktowałabym, gdyby nie Otto. Przy takich okazjach zwykle uśmiechał się bardzo znacząco, chrząkał, prychał i robił złośliwe uwagi o porozumieniu dusz albo o dziwacznych gustach nekromantów i jeszcze dziwniejszych zwyczajach, które nie pozwalają ukochanej przysłać kwiatów.

– Milczenie i neutralizacja gorzały w oddechu. – Nagle oświeciło mojego najlepszego przyjaciela.

– Że co?

– Dziekan bardzo nie lubi, jak ktoś mu dyszy w nos gorzałą, a jeśli gość jeszcze przy tym gada głupoty, to staruszka w ogóle biesi. Tak więc czaruje, a ty następnym razem podsłuchaj coś ciekawszego. Jak myślisz, ile możemy zedrzeć z Irgi za randkę z tobą? Na nim zbilibyśmy majątek.

– Poczytaj mądre książki, to się dowiesz, że przyzwoite dziewczyny nie wiążą się z nekromantami – odcięłam się złośliwie. – Poza tym Irga to tylko kolega.

Randka z Irgą! Też mi coś! Trzeba by nie mieć instynktu samozachowawczego. Umawiając się na randkę z nekromantą, powinnam przygotować się na wszelkie możliwe

kłopoty, pewnie nawet o spódnicę musiałabym walczyć o wiele zacieklej niż z Ottonem! A ja jednak chciałam mieć randkę. Po prostu randkę. Najlepiej romantyczną.

W końcu batalię o szafę (Trohim, zarazo, przestań dyszeć parą!) wygrał Otto – została znaleziona odpowiednia spódnica. Szeroka, ładna, z pasem podkreślającym „krzywiznę bioder”. I nawet pantofelki na niskim obcasie (na wysokim bardzo się chwieję przy chodzeniu, jednocześnie kulejąc i pojękując).

Upiąwszy włosy szpilkami i zgarnawszy torebkę, byłam gotowa.

– Z tym worem nigdzie nie pójdziesz. – Krasnolud wczepił się w moje schludne maleństwo.

– To nie worek – wydyszałam z wysiłkiem, usilnie wrywając mu torebkę. Krasnolud był ode mnie znacznie silniejszy, ale prowadzony wspólnie od lat biznes wyrównywał nasze szanse.

– Wór! Psuje ci cały wygląd.

Trohim aktywnie kibicował Ottonowi. Gwałtownym szarpnięciem półkrasnolud wywalczył moją przechowalnię tych bardzo i tych niekoniecznie niezbędnych w codziennym życiu przedmiotów.

– Otto, jesteś szowinistą – obraziłam się. – Kobieta ma prawo do torebki.

W oku zalśniła mi łezka. Otto odwrócił się demonstracyjnie, ale Trohim się przejął.

– A idź bez portfela. Niech ten cały Bringem cię częstuje.

Mój nastrój podniósł obrażoną głowę i oblizał się łakomie. Wyruszyłam na randkę.

Wszystko było tak wspaniale, że wydawało się bajką. Bringem – uprzejmy, miły, czarujący, z poczuciem humoru, poczęstował mnie smacznym koktajlem. Oczywiście najdroższym z dostępnych, he he.

I znowu poczęstował koktajlem. I sam się poczęstował. Parę razy.

Ja zrobiłam się całkiem miła i przyjacielska, a on – no czego tu można wymagać od faceta! – heroiczny.

– Boisz się chodzić po nocy? – powiedział do mnie tajemniczym tonem.

Zdziwiłam się. Większość mieszkańców miasteczka uniwersyteckiego wiedziała o tym, że jestem przyjaciółką Ottona i cieszę się szacunkiem Irgi. Krasnoludzki obrońca i opieka nekromanty – czego jeszcze potrzebuje dziewczyna, by nie bać się późnym wieczorem wracać do akademika?

Ale – jestem przecież na randce!

– Oczywiście, że się boję! – wyszeptalam zmysłowo, ze wszech sił starając się usunąć z głosu nuty sceptycyzmu.

Co tam jeszcze należy mówić w takich przypadkach? Aha, w pamięci stanęły cytaty z tych zwojów, co to Otto czytał mi, podczas gdy malowałam buźkę.

– Ale przecież jest ze mną taki męski obrońca, z nim niczego się nie boję!

Potrzepotać rzęsami, potrzepotać.

Bringema te słowa niezwykle podbudowały.

– Idziemy.

– Dokąd?

– Przespacerujemy się po okolicy.

Oczywiście, do głowy idiotki może przyjść mądra myśl, ale akurat tym razem nic takiego się nie stało. Tak więc zgodziłam się.

I poszliśmy na spacer. Po ulicach, uliczkach, alejkach, ścieżeczkach... Chwila, a gdzie my idziemy?

Tak, wam się to może wydać śmieszne. Wypiła, rozkojarzyła się, zagapiła na blond fryzurę. I znalazła się na cmentarzu. Oczywiście, że żywa, a kto wam to wszystko opowiada niby?

– No i gdzie mnie przywiodłeś? – zapytałam niemiłym głosem, zapomniawszy o jakiegokolwiek zmysłowości.

– Cmentarz Warragiński, zobacz, jak tu ślicznie!

Cmentarz Warragiński faktycznie był bardzo ładny. W marmurowych kryptach odbijał się księżyc, klęczące figury malowniczo chowały się za zaroślami zielska i wydawało się, że cisza aż dzwoniła. Stary cmentarz, rzadko odwiedzany, ze swoją starą aurą. Nigdy przedtem na nim nie byłam.

– Romantyczne, nie? – mój kawaler produkował się w natchnieniu.

– Jesteś wampirem? – spytałam z nieśmiałą nadzieją.

– No coś ty!

– Wilkołak? Zombi? Albo chociaż inkubus?

Bringem zagapił się na mnie z wyrazem kompletnego zdziwienia na przystojnej twarzy.

No tak, on jest przecież praktykiem! Jak mogłam zapomnieć! Przecież praktycy nie boją się cmentarzy, nie to, co my – teoretyczne mole książkowe. Uspokoiliam się i wyjaśniłam:

– Wierzę, że po starych cmentarzach należy chodzić ze znajomymi siłami nadprzyrodzonymi. Więc na wszelki wypadek sprawdzałam.

Romantyczny nastrój został uratowany. Szliśmy powoli. Bringem opowiadał mi o właścicielach krypt, miał na tym cmentarzu praktykę z niszczenia żywych trupów. Jeśli wierzyć słowom mego towarzysza, właściciele krypt – zwykle ludzie bogaci – po śmierci często byli wywoływani z zaświatów.

– Ale... po co?

– Czasem niepocieszeni krewni szukają skarbów, czasem papierów, czasem pomysłów. Jakbyś miała utalentowanego pradziadka, to czy będąc w kłopotach, nie zwróciłaś się do jego ducha w poszukiwaniu pomysłów?

A tak przy okazji, o pomysłach w sytuacjach kryzysowych. W naszą stronę, spokojnym i pewnym siebie kroczeniem, właściwie lekkim truchtem, kierował się całkiem nawet ruchliwy zombie. W głowie wyświetliła mi się treść podręcznika: „Zombie jest istotą wredną, a na wolności groźną”. Właściciela w pobliżu nie zauważyłam.

– Co robimy? – spytałam Bringema, pociągając go za rękaw i pokazując żywego trupa.

Prawie dyplomowany mag-praktyk wyrócił oczami, po czym zemdlął.

Zaciągając kawalera w cień krypty w nadziei, że zombie nas nie widział, myślałam tylko o jednym: takich studentów jak mój kawaler trzeba z Uniwersytetu wywalić! Za braki edukacyjne! Nie wychodziło mi nawet spryskanie Bringema magiczną wodą – cała koncentracja konieczna dla wykonywania gestów magicznych zebrała mi się w zuchwie i aktywnie zajmowała szczękaniem zębami. Tak, przestraszyłam się! Jeszcze nigdy nie widziałam żywiutkiego i spacerującego na wolności trupa.

Blondynek otworzył oczy i, stukając zębami jeszcze głośniejsze, wczepił się w moją rękę. To otrzeźwiło waszą pokorną sługę, więc zdzierając z rękawa Bringemowe palce, wysyczałam:

– Jesteś przecież praktykiem! Praktykiem!

– Boję się zombie! Jestem magiem bojowym, mam niszczyć żywych wrogów, nieumarli to nie mój profil.

W tej właśnie chwili zrozumiałam, co to znaczy, że kogoś „dusi wściekłość”. Bałam się, ale jeszcze znacznie bardziej chciałam radośnie oddać tego niedorobionego maga bojowego zombie i pomóc trupkowi powoli go rozczłonkować.

– Po co żeś mnie przyciągnął na cmentarz? – Potrząsałam Bringemem, trzymając go za kołnierz. Jego głowa chwiała się bezwładnie, a zęby wydzwaniały swoistą melodyjkę.

Zrozumiałam, że nic w ten sposób nie osiągnę, zdecydowałam się na rejteradę na czworakach. Podniosłam wzrok. No oczywiście, nasz kochany, martwy przyjaciel nie mógł nie zauważyć zamieszania przy krypcie.

– Cześć! – nie mogłam wymyślić nic lepszego niż pomachanie zombie rączką.

On odmachnął w odpowiedzi. Kolczyki Irgi w uszach, prawdopodobnie reagując na ruchy truposza, zauważalnie się rozgrzały.

Próbowałam odpełznąć od nieboszczyka, aktywnie ruszając „krzywizną bioder” i bezpowrotnie niszcząc urok mojej jedwabnej spódnicy. Bringem udawał trupa dość wiarygodnie. Nawet zęby mu nie dzwoniły.

Czyjś zmarły krewny, zapewne wezwany w sytuacji kryzysowej, postanowił przyspieszyć moje ruchy, więc schylił się i wczepił siną ręką w moją spódnicę.

Piękny układ kolorystyczny, zdążyłam pomyśleć i niemal natychmiast pojawiło się oburzenie.

– Moja najlepsza spódnica! – krzyknęłam, kopiąc zombie z całych sił.

Trzeba przyznać, że nie na darmo jednak założyłam pantofelki. Obcasik może i był mały, ale za to ostry. Ręka umarlaka nadziała się jak szaszłyk na rożen. Parę razy bezskutecznie szarpnąwszy nogą, pomyślałam: czy naprawdę tak bardzo mi szkoda zostawić pantofel zombie i uciec na bosaka? Przed oczami pojawił się cennik:

Spódnica jedwabna, z frędzlami – 4 złote.

Pantofle, skór. kob. – 3 złote.

Nie ma co, niezła randka.

Zombie chyba również rozmyślał. Coś w końcu postanowiwszy, złapał wolną ręką za moją nogę i parę razy pociągnął. Teraz spod spódnicy kusząco wyglądało wszystko, co tylko mogło.

Oburzenie zabiło we mnie cały strach. Powiedziałam:

– Szanowny panie! Proszę puścić moją nogę! Pan za nią nie płacił.

Widocznie słowo „płacić” było dla mojego nowego przyjaciela kluczowe. Zagapił się na mnie okrągłymi oczyma i całkiem wyraźnie powiedział:

– Podatków nie płaciłem i płacić nie będę.

Bringem przestał udawać trupa i czknął. Popatrzył na naszą dość malowniczą grupę „Zombie i dziewczyna z zadartą spódnicą siedząca koło krypty” i zdecydował się jednak pozostać martwy. To wszystko przypominało majaki po spożyciu.

Pomyślałam, że chyba powinnam przestać pić. Od siedzenia na ziemi zrobiło mi się zimno, a w duszy tęsknie. Jedyne, co grzało, to kolczyki w uszach, ale tego było zbyt mało, żebym przestała dygotać. Bez nadziei parę razy szarpnęłam nogą i pomyślałam: wrócę do domu, to za wszystko zabiję Bringema, a Ottona po prostu stłukę.

– Piękny widok – zauważył ktoś z góry.

Podniosłam oczy. Irga! Nigdy się tak nie cieszyłam na widok nekromanty.

– To twoje żarty? – zaciekawiałam się, co prawda bez szczególnego entuzjazmu.

– Zombie jest mój. Mieliśmy podnoszenie z ludźmi z podatkowego. Próbowali z niego wyciągnąć pozwolenia na płacenie podatków dla potomków. Ten piękniś napisał testament, że przeklnie wszystkich potomków, którzy będą płacić podatki. Więc próbowaliśmy go przekonać, bo przekleństwo z za grobu to cholernie wredna rzecz.

Ten „piękniś” zaczął głaskać moją nogę. Zawylałam – dotknięcie było zimne, paskudne i wcale nie erotyczne.

– Zabierz ode mnie to paskudztwo, zabierz! Nienawidzę!!!

Irga wyszeptał parę zaklęć, zombie zmarł. Nekromanta ostrożnie uwolnił moją nogę i pomógł mi wstać.

– Czemu twoje kolczyki mnie nie obroniły?

– Przecież cię nie jadł – zauważył nekromanta, właściwie słusznie. – Tylko głaskał. – I paskudnie zachichotał.

– Chodź, zabijmy go! – powiedziałam z nadzieją na pomszczenie moich skołatanych nerwów.

– Nie mogę, on jeszcze nie dał zgody na podatki.

– Nie o zombie mówię. – Wskazałam ręką podnoszącego się z krzaków Bringema.

– O, Bringem – ucieszył się Irga. – A ja tak sobie myślałem, czy to nie ty w krzakach leżysz? A ty co, spotykasz się z nim? – To do mnie.

– Oczywiście, że nie – oburzyłam się. Nogi mi jeszcze drżały, co nie przeszkodziło w oglądaniu uszkodzeń na spódnicy. – Otto mi zorganizował randkę. Dostałam dwie złote monety.

– I oczywiście nie miałaś pojęcia, że on się panicznie boi nieumarłych, i dlatego zaciągnął go na cmentarz.

– Ja zaciągnęłam, ja?! – z wściekłości straciłam resztki miękkiej kobiecości. – Ta zaraza sama mnie tu przyprowadziła.

– Byłem pewien, że tu nikogo nie ma! – wyjęczał Bringem. – Proszę, nie mów nikomu!

– A co z praktyką z niszczenia żywych trupów? Zobacz, w jakim stanie jest moja spódnica!!!

– Praktykę za niego przeszedłem ja – uśmiechnął się Irga. – Para monet i wszystko załatwione. Wykładowca jeść musi, i ja też. A on jest niezłym wojownikiem, więc przytknęli na to oczy.

Zrobiło mi się smutno. Gdzie są prawdziwi mężczyźni, bohaterowie, którzy robią coś, nie wymagając nagrody? (Wybawiając mnie od zombie, Irga bezpłatnie potrzymał mnie za nogę i na pewno obejrzał sobie wszystko to, co powinno być skromnie schowane pod spódnicą, a w tamtej chwili nieprzyzwoicie wystawało.) Po niedawnych przeżyciach trzęsło mną. Bardzo brakowało mi torby, w której znajdowała się lecznicza nalewka z zupełnie nieznaczną zawartością alkoholu. Było mi tak smutno, że nie chciałam nawet przywalić Bringemowi, który, przygarbiony, włókł się ku wyjściu.

Szkoda spódnicy, pantofle są do czyszczenia, zamarzłam, nerwy mam zszargane. Nie da się ukryć, podobne randki są wybitnie szkodliwe dla kruchej kobiecej psychiki. Bo czuję, że teraz czeka mnie uspokajanie tejże psychiki przy użyciu czegoś smacznego i ogrzewającego, co zniweluje jakiegokolwiek przychody finansowe.

A przy okazji.....

– Irga – spytałam – ile zapłacisz, żeby pójść ze mną na randkę?